ADAM PĘKALSKI 19.05.2020

Rysować każdy może



Z Adamem Pękalskim, grafikiem i ilustratorem, twórcą ilustracji do podręczników Nowej Ery dla edukacji wczesnoszkolnej, rozmawia Marzanna Polit.

Czy zna Pan powiedzenie „Jestem człowiekiem inteligentnym – czytam, piszę i rysuję". Tak podobno powiedział kiedyś o sobie Bolesław Prus. Kiedy się Pan zorientował, że ma ten dar i umie rysować?

Przyznaję, że tego akurat bon motu Prusa wcześniej nie znałem i czuję się nim trochę zakłopotany, bo niezupełnie się z nim zgadzam, żeby nie powiedzieć – zupełnie się nie zgadzam. O ile umiejętność czytania (ze zrozumieniem) i pisania (z sensem) są niewątpliwie przymiotami człowieka inteligentnego, o tyle rysowania – niekoniecznie. Znam osoby niezwykle inteligentne, które niestety nie potrafią narysować literalnie niczego, jak też, dla symetrii, osoby niezwykle uzdolnione plastycznie... i tyle. Uzdolnione plastycznie, no, ładnie rysują niewątpliwie, kropka. Notabene, z tym uzdolnieniem, czy, jak Pani to nazwała, darem to ja bym też specjalnie nie przesadzał, bo rysować może każdy. O ile do uprawiania takiego czy innego sportu na ogół konieczne są określone predyspozycje fizyczne, podobnie zresztą z graniem muzyki (pianiści na przykład muszą mieć duży rozstaw palców, a trębacze mocne płuca itd., trzeba też dodatkowo mieć wrodzony słuch i poczucie rytmu), o tyle do rysowania wystarczy po prostu w miarę sprawny wzrok i ręka, do której można wziąć ołówek (chociaż nawet ręka nie jest warunkiem sine qua non, bo są przecież artyści rysujący stopą lub ustami). Picasso podobno powiedział, że każde dziecko rodzi się artystą, cały szkopuł w tym, żeby o tym pamiętało, kiedy już dorośnie. Myślę, że większość z nas po prostu o tym zapomina i – co gorsza – wstydzi się sobie przypomnieć, z różnych zresztą powodów: albo sami z siebie tracimy zainteresowanie na rzecz innych pasji, albo dajemy sobie wmówić, że zamiast mazać bez sensu należy zająć się czymś poważniejszym, albo ktoś bez serca skrytykuje nasze rysunki i tracimy wiarę w siebie, nabierając błędnego przekonania, że po prostu nie mamy talentu. Jakby talent miał tu jakieś znaczenie! Tak naprawdę to przecież tylko kwestia zaangażowania i ilości czasu, jaki poświęcimy na ćwiczenia. Miałem akurat to szczęście, że moje dziecinne bazgroły spotkały się z wyjątkowo życzliwym przyjęciem, co więcej, byłem do rysowania wręcz zachęcany; mój Tata jest artystą fotografikiem, ma więc dużą wrażliwość plastyczną i tzw. kapitał kulturowy. Odkąd pamiętam, w naszym domu częstymi gośćmi byli ludzie związani ze sztuką, na półkach zalegały sterty albumów i pięknie ilustrowanych książek, rodzice ciągali mnie na rozmaite wernisaże i wystawy, nic więc dziwnego, że koniec końców sam poszedłem w tym kierunku, bez specjalnego rozważania innych ewentualności zresztą. To nie jest tak, że pewnego dnia wymyśliłem sobie, że zostanę artystą i zacząłem rysować. Ja po prostu nigdy nie przestałem.

Kim by Pan był, gdyby nie zajmował się tym, czym się zajmuje? Jaki zawód by Pan uprawiał?

Najchętniej byłbym bogatym rentierem, który w ogóle nie musi pracować, niestety urodziłem się w niewłaściwej rodzinie, być może też i w niewłaściwym kraju, więc ta możliwość odpada. Czasami, kiedy bardziej niż zwykle doskwiera mi fakt, że jako freelancer pracujący w domu w zasadzie cały czas jestem w pracy – budzę się w niej i w niej zasypiam – marzy mi się jakiś zawód, w którym granica między życiem profesjonalnym a prywatnym nie byłaby aż tak zatarta. Myślę wtedy, że mógłbym być jakimś, z przeproszeniem, niskiego szczebla urzędasem, od dziewiątej do siedemnastej wstukiwać dane do Excela, przybijać pieczątki i wypisywać zaświadczenia, siorbiąc lurowatą herbatkę ze szklanki, po czym wychodzić z biura, wracać do domu i przez resztę dnia być już człowiekiem prywatnym, nie myślącym o robocie, co najwyżej rysującym sobie coś tam dla własnej przyjemności. Inna rzecz, że kiedy los dał mi szansę na coś w tym rodzaju, nie umiałem z niej skorzystać. Przez jedenaście lat pracowałem na Uniwersytecie Bilkent w Ankarze, gdzie w cieplarnianych warunkach prowadziłem zajęcia z projektowania graficznego i ilustracji – z szesnastogodzinnym tygodniowym pensum, z wynagrodzeniem pozwalającym na może i skromne, ale dość beztroskie życie, z ogólnym śródziemnomorsko-bliskowschodnim luzem... Żyć, nie umierać. I co? I nawet na chwilę nie potrafiłem sobie odpuścić i cały czas równolegle

pracowałem jako ilustrator, w rezultacie zasuwając na dwa etaty. Choć przecież nie musiałem! Tymczasem było jak w tym starym powiedzeniu: wracam z pracy i biorę się do roboty... Najwyraźniej nie da się uciec przed swoim przeznaczeniem. Moje jest takie.

Czy jest ktoś, kogo uważa Pan za swojego mistrza? Których ilustratorów, grafików, malarzy Pan lubi i ceni?

Mistrzów, takich sensu stricte, miałem w życiu dwóch: pierwszym był nieżyjący już niestety gdański malarz Piotr Sosiński, do którego chodziłem na lekcje jeszcze w szkole średniej, i który nauczył mnie w sumie wszystkiego, co dziś wiem o rysunku i malarstwie. Drugim jest mój nauczyciel i promotor z ASP, prof. Tomasz Bogusławski, jeden z czołowych polskich twórców plakatów. Pootwierał mi strasznie dużo klapek w głowie i pokazał, że grafika, z ilustracją włącznie, może być również, a nawet przede wszystkim, intelektualną przygodą. A kogo lubię i cenię? Ojej. Nawet nie wiem, od kogo miałbym zacząć wymieniać, bo imię ich Legion. Może powiem tylko, że kiedy miałem lat... no, mało w każdym razie, bardzo chciałem być Bohdanem Butenką; podpisywałem nawet swoje rysunki *Adam pinxit*. Najprawdopodobniej właśnie ta fascynacja zaważyła na tym, że ostatecznie poszedłem w ilustrację.

Co Pana inspiruje w pracy?

Właściwie wszystko, co zobaczę, obejrzę, przeczytam, usłyszę. Nie ma tu reguły, bo też i zakres tematów, w których poruszam się w swoich pracach jest bardzo szeroki, i nigdy nie wiadomo, co akurat „zagra". Inspiracja potencjalnie czai się za każdym rogiem, czasem wystarczy tylko wyjrzeć przez okno albo przewertować książkę, posłuchać muzyki, usłyszeć urywek rozmowy na ulicy, zobaczyć kogoś nietypowo wyglądającego albo właśnie przeciwnie – kogoś wyglądającego jak ucieleśnienie przeciętności. Co natomiast bardzo mi w pracy pomaga (choć nie wiem, czy te rzeczy można zakwalifikować jako inspiracje): deszczowa pogoda, bliskość półek wypełnionych książkami, fajna muzyka w tle, kubek herbaty i ciasteczka.

Kiedy powie Pan o ilustracji, że jest dobra?

To jeszcze zależy, jakie kryteria przyjąć. Na pewno pożądane jest, żeby była estetyczna, żeby użyte w niej środki plastyczne były adekwatne do jej funkcji (inaczej przecież projektuje się ilustrację prasową, inaczej książkową, jeszcze inaczej taką o celach edukacyjnych, jak w przypadku podręczników), żeby dokładnie i w sposób czytelny prezentowała wymaganą treść (to znaczy na przykład żeby nie było wątpliwości, że to wilk zjada Czerwonego Kapturka, a nie odwrotnie), żeby była dostosowana do zdolności percepcyjnych odbiorcy i tak dalej, i tak dalej. Ale spełnienie tych wszystkich warunków wcale jeszcze nie sprawia, że ilustracja jest dobra; może być co najwyżej poprawna. Moim zdaniem, ilustracja jest dobra wtedy, kiedy, górnolotnie rzecz ujmując, porusza jakąś strunę w duszy odbiorcy. Gdy nie jest jedynie jeszcze jednym obrazkiem, po którym oko przesuwa się obojętnie, ale gdy przykuwa uwagę na dłuższy moment i skłania do powracania do niej jeszcze długo po odwróceniu strony. Ideałem jest dla mnie ilustracja, w której oglądający chciałby się znaleźć. Wejść, dosłownie, do tego przedstawionego świata, zobaczyć, co jest za tą linią namalowanych drzew, za wzgórzem, poza krawędzią kartki. Ta ilustracja wcale nie musi być utrzymana w konwencji realistycznej, ba, nie musi też przedstawiać jakiejś szczególnie przyjemnej sceny (czasem nawet przeciwnie, może być dość przerażająca, upodobania są przecież różne), może przedstawiać absolutnie cokolwiek i być wykonana dowolną techniką, grunt, że pobudza wyobraźnię oglądającego do tego stopnia, że pojawia się to pragnienie immersji, czyli zanurzenia się w tym wymyślonym świecie. Jak taki efekt osiągnąć – szczerze mówiąc, nie potrafię odpowiedzieć. Czasami jednak przypadkiem się udaje. Może to jest właśnie ten dar, o który pytała Pani na początku, a od którego ja się tak odżegnywałem? To coś, co odróżnia dobrego ilustratora od kogoś, kto potrafi tylko przyzwoicie rysować? Jest jeszcze jeden aspekt dobrej ilustracji, który wiąże się z moim głębokim przekonaniem o misyjnej naturze zawodu ilustratora, zwłaszcza tego tworzącego dla dzieci i młodzieży. Ilustracje w książkach są dla większości młodych czytelników pierwszym w ogóle kontaktem ze sztukami wizualnymi, zatem powinny, między innymi, przygotowywać dziecko do odbioru *dorosłej sztuki* – nie tylko malarstwa i grafiki, ale też szerzej: rzeźby, instalacji, video-artu... Taka musi być moim zdaniem dobra ilustracja: rozbudzająca wrażliwość plastyczną u przyszłych odbiorców i twórców dóbr kultury. Niestety, nasz system edukacji podchodzi raczej po macoszemu do tej dziedziny, skupiając się głównie na nauczaniu literatury, historii i nauk ścisłych. Absolutnie nie chciałbym negować ich znaczenia, ale nacisk, jaki się na nie kładzie, odbywa się zazwyczaj kosztem sztuk plastycznych i muzyki. Te zaś nagminnie sprowadza się

do rangi rozrywki, hobby niemalże, przydatnego być może w edukacji wczesnoszkolnej, ale już starszych uczniów niepotrzebnie odciągającego od poważnych i pożytecznych przedmiotów. A przecież, jak w przytoczonym przez Panią na początku naszej rozmowy zdaniu Prusa, człowiek inteligentny to nie tylko poruszający się w sferze analitycznej odbiorca (czytelnik) oraz nadawca (piszący), ale też i operujący w sferze emocjonalnej i duchowej twórca (niech będzie, że rysownik, choć oczywiście nie tylko). Twórca i świadomy odbiorca sztuki.

W jakich technikach lubi Pan tworzyć? Jak przebiega proces przygotowania ilustracji do tekstu?

Od wielu lat pracuję głównie na komputerze, wspomagając się jednak technikami tradycyjnymi. Najczęściej polega to na tym, że robię ręcznie – tuszem bądź tylko ołówkiem – czarno-biały rysunek, który następnie skanuję i koloruję cyfrowo. Komputer przyspiesza pracę, dodatkowo daje mi też komfort w nanoszeniu poprawek, natomiast tradycyjne narzędzia dodają całości odrobinę ciepła, takiej lekkiej chropowatości, która jest bardzo trudna do osiągnięcia wyłącznie przy użyciu tabletu piórkowego i programu graficznego. Coraz częściej zdarza się jednak, że wstępny szkic do ilustracji robię bezpośrednio w komputerze, właśnie przy użyciu tabletu (jest to wygodne zwłaszcza wtedy, gdy ilustracja ma bezpośrednio łączyć się na stronie z tekstem i trzeba ją w związku z tym precyzyjnie zakomponować), następnie taki szkic drukuję, odrysowuję go na czysto przy pomocy podświetlanej maty ledowej, po czym dopiero skanuję i koloruję. Trochę to wszystko skomplikowane, ale można się przyzwyczaić.

Na czym Pana zdaniem polega specyfika ilustrowania podręczników dla najmłodszych klas? Czy szczegółowe wskazówki autorów i redaktorów są dla Pana przeszkodą/ograniczeniem czy wyzwaniem jak forma sonetu dla poety?

Powiedziałbym, że robienie tego typu ilustracji mniej przypomina misterne konstruowanie sonetu, a bardziej robienie zakupów według listy zapisanej na kartce. Trzeba kupić to, to, to i to. W takim opakowaniu, a nie innym. I niech ręka boska broni, żeby zamiast śmietany kupić jogurt albo zamiast razowca – bagietkę! I żadnych czekoladek! Na liście nie ma czekoladek, nigdy ich tam nie było, nie będzie, i koniec dyskusji. Oczywiście czasami staram się negocjować, bywa też, że czytając opis, łapię się za głowę, bo o ile napisać można cokolwiek, o tyle z narysowaniem, zwłaszcza trzymając się ściśle określonej powierzchni, jest już różnie. Niedawno na przykład pracowałem nad ilustracją przedstawiającą scenkę na ryneczku, do której opis skrupulatnie wyszczególniał, jakie stragany z jakimi towarami koniecznie muszą być widoczne. Czytam więc tę *listę zakupów*, w oczach mi się mrowi, bo miała tam być i mąka i pączki, i pierniki w kształcie serduszek, i flądry, pstrągi, śledzie i łososie, i rozmaite zabawki, i blaszane trąbki, i strączki fasoli, i kwitnące kwiaty, i mama z córką i pieskiem, i różni inni ludzie kupujący i sprzedający (uff!), aż w końcu dochodzę do ostatniego zdania opisu: *gdzieś rośnie dąb*. Ręce mi opadły, odpisałem, że przepraszam, dębu nie będzie, bo nie mam go gdzie zasadzić. Jakoś się upiekło. Nie będę ukrywał, że wolałbym mieć więcej swobody, ale ostatecznie ilustracje w podręcznikach służą celom przede wszystkim dydaktycznym, a nie zaspokojeniu moich ambicji twórczych, więc nie narzekam, robię, czego się ode mnie oczekuje, i przy okazji staram się, żeby dzieciom i nauczycielom mimo wszystko patrzyło się miło na te obrazki.

Czy „sprawdza" Pan swoje ilustracje dla dzieci na córce?

Nawet gdybym nie chciał, to i tak regularnie zagląda mi przez ramię (bo przecież pracuję w domu) i jest na bieżąco z tym, co tam Stary akurat ma na warsztacie. Na ogół nie zgłasza zastrzeżeń, ale pewnie dlatego, że to po prostu dobre dziecko, które nie chce robić ojcu przykrości...

Z czyją oceną swoich prac najbardziej się Pan liczy?

Żony. Ma doskonały gust i zawsze bezlitośnie wyłapie każdy ewentualny kiks w moich ilustracjach. Wystarczy, że spojrzy i od razu widzi, co jest nie tak. Czasem się buntuję, ale jeszcze się chyba nie zdarzyło, żebym ostatecznie nie musiał przyznać jej racji.

Jak Pan odpoczywa?

Biegam. Niedużo; pięcio- może sześciokilometrowy dystans, za to staram się regularnie, co drugi dzień, trzy razy w tygodniu. Różnie z tym bywa, bo mam skłonności do lenistwa, ale walczę. Szczęśliwie mieszkam niedaleko Bulwaru Nadmorskiego, więc mam ładną trasę, a taki poranny jogging wzdłuż brzegu morza bardzo poprawia samopoczucie i oczyszcza umysł. Poza tym nie robię niczego nadzwyczajnego – oglądam filmy (przez lata zgromadziłem imponującą filmotekę na DVD i Blu-ray), czytam książki. Najchętniej na kanapie, jedno i drugie. Ale to już jest luksus, bo jak wcześniej wspomniałem, w pracy jestem zasadniczo od rana do nocy. I zawsze jest coś do zrobienia, bo ilustratorzy są jak ryjówki – jeśli zbyt długo pozostają nieaktywni, to raz-dwa padają z głodu.

Jakie książki Pan czyta?

Łatwiej byłoby powiedzieć, jakich z zasady nie czytam – powieści szpiegowskich i poradników rozwoju osobistego (brr!) – poza tym nie mam specjalnie uprzedzeń ani preferencji gatunkowych. Im jestem starszy, tym mniej mnie pociąga beletrystyka, a coraz bardziej literatura faktu – popularnonaukowa, reportaże, biografie, eseistyka. Mam wrażenie, że w moim wieku najważniejsze lektury i największe uniesienia czytelnicze ma się już za sobą, choć oczywiście bardzo chciałbym się mylić. Lubię książki, w których autor zaprasza czytelnika do gry, której reguły poznaje się dopiero w trakcie czytania, literaturę, która wynika z literatury, stąd moja słabość do postmodernistów: Itala Calvina, Umberta Eco, Roberta Nye'a. Kiedyś bardzo lubiłem iberoamerykańskich realistów magicznych, ale z latami trochę mi wychłódło. Chociaż – ostatnio chodzi mi po głowie, żeby odświeżyć sobie Aleja Carpentiera, zwłaszcza jego *Eksplozję w katedrze o Rewolucji Francuskiej* widzianej z perspektywy Karaibów. Nieodmiennie frajdę sprawia mi literatura czeska, *Śmierć pięknych saren* Oty Pavla to jedna z moich ulubionych książek w ogóle, czytuję też sporo współczesnej literatury polskiej, bo – wiadomo – koszula najbliższa ciału. Z ostatnich lektur mogę polecić najnowszą książkę Jacka Dehnela o narodowej apokalipsie zombie *Ale z naszymi umarłymi* i tomik opowiadań Maćka Bielawskiego *Doktor Bianko*. Chętnie sięgam też po fantastykę, przy czym raczej SF niż fantasy. Żyjemy w dość strasznych, ale też i bardzo ciekawych czasach wielkich zmian, a literatura fantastyczna doskonale te nasze lęki początku XXI wieku wyraża. Bo też i rzeczywistość wokół nas staje się coraz dziwniejsza: transhumanizm, cyberprzemoc, powszechna inwigilacja, sztuczna inteligencja, apokalipsa klimatyczna... Te słowa, które odmieniane są obecnie w mediach przez wszystkie przypadki, to przecież żelazne tematy fantastyki naukowej; fascynuje mnie, choć i przeraża, jak fikcja na naszych oczach staje się faktem. Nie mogę tylko przeboleć, że z lotami międzygwiezdnymi jakoś nam nie wyszło. Ale najwięcej czytam chyba literatury dziecięcej, i to wcale nie ze względów zawodowych. Po prostu co wieczór czytam mojej Córce przed snem. Jest to nasz rytuał, odkąd się urodziła, i choćby się waliło i paliło – trzeba co wieczór jeden rozdział przeczytać. Trudno powiedzieć, które z nas ma z tego większą frajdę.

Adam Pękalski (ur. 1975 r.) – studiował grafikę i malarstwo na ASP w Gdańsku. Był wykładowcą projektowania graficznego i ilustracji na Uniwersytecie Bilkenet w Turcji. Tworzy ilustracje książkowe, prasowe i reklamowe. Laureat wielu nagród. Autor wielu ilustracji w serii *Wielka Przygoda*.